

Muzyczny scenarzysta

Nie wiadomo, skąd się wziął, ile nagrał płyt i gdzie mieszka. Co pewne - jest młodym, przystojnym blondynem (którego można spotkać to w londyńskim, to w paryskim metrze) i nagrywa kilka płyt rocznie. Kocha stare kino amerykańskie i sprzedaje własne filmowe soundtracki. Poszperajcie w babcinych szafach i szykujcie sukienki w grochy oraz koszule z mankietami – kolejne dwie projekcje Jeremy'ego Jaya na żywo pod koniec miesiąca w Warszawie i Katowicach.

Jeremy Jay to współczesny 26-latek lubujący się w sztuce retro. Urodził się w Chula Vista w Kalifornii, a dorastał w Los Angeles, wyciągając z kultury amerykańskiej to, co najlepsze. Zakochał się w ścieżkach dźwiękowych i czarno-białych filmach hollywoodzkich z lat 50. Za swoich idolów uważa zarówno Warhola, jak i Bowiego. Bez problemu włada językiem francuskim oraz przejawia inspiracje filmami Godarda. Jego matka, Szwajcarka, wszczepiła w niego frankofońską miłość do tego stopnia, że przeniósł się na Stary Kontynent i regularnie odwiedza stolicę Francji, przemierzając w tym celu Kanał La Manche. Inspiracji nie ma końca, a ich echa słychać na jego każdej kolejnej płycie.

Nikt nie wie, ile ich tak naprawdę nagrał. Ponoć zaczynał od rejestrowania pierwszych utworów na czarnych krążkach. W ten sposób powstały w 2005 roku single „The Diamond Descends on the Valley Veranda” i „This City Tonight”. Zarejestrowanego rok później albumu „You Came from a Far Away Land” nikt nigdy nie widział. Nagrane własnym sumptem winyle prezentowały romantyczne ballady, nastrojowością pasujące do dawnych filmów amerykańskich, ale z odrobiną elektronicznych sampli. W repertuarze pojawiały się kolejne małe płyty: „Airwalker” i „We Were There” w 2007 roku, kiedy ukazała się również ścieżka dźwiękowa do „Dreamland”. Film swoją tematyką już wtedy zainspirował Jaya do pisania wirtualnego pamiętnika „Dream Diary” i w przyszłości do nagrania płyty pod tym samym tytułem, która ukaże się jeszcze w tym roku, jesienią. „A Place Where We Could Go”, drugi longplay, z 2008 roku, uznano za oficjalny rynkowy debiut Jeremy'ego, a jego następcę, „Slow Dance”, za zeszłoroczny hit. Dzięki niemu Jeremy zebrał same pochlebne recenzje i zwiedził kawał świata. Występował zarówno w małych knajpach, niekiedy grając na scenie przed Deerhunterem, oraz na najważniejszych, jak i najbardziej alternatywnych festiwalach europejskich - między innymi na barcelońskiej Primavera czy o myśłowickim OFF Festivalu nie wspominając. Do worka z napisem „nagrane” dorzucamy EP-ki „Alpha Rhythm” (2008) i „Love Everlasting” (2009).

Mimo dużego sukcesu jak na niszową skalę chłopak nie osiadł na laurach i nadal poświęca nocne na komponowanie nowych utworów, a sen na pisanie „Dream Diary”. 24 maja ukazuje się kolejny (bo trudno tu o jakąkolwiek numerację) album „Splash” (jak dwa poprzednie wydany pod skrzydłami wytwórni K Records), którego promuje singiel „Just Dial My Number”. Ten (trudno tak go nazwać, bo trwa nieco ponad pół godziny) długogrający krążek to następny odcinek filmu z serii „życie według romantycznego piosenkarza kochającego granatowe sukienki w białe grochy”. Jeremy po raz kolejny udowadnia, że ma talent do komponowania prostych i jednocześnie urokliwych piosenek. Tym razem jest bardziej rytmicznie i akustycznie, a teksty nadają muzyce jeszcze większej romantycznej nastrojowości. W końcu seriale nie mogą być zbyt długie, a każdy odcinek kończy się w punkcie kulminacyjnym, wzbudzającym chęć poznania następnych wątków fabuły. A my już wiemy, że ciąg dalszy nastąpi. Tymczasem jak bardzo swoim głosem oraz grą na pianinie i gitarze potrafi zaczarować na „Splash” (może zaprezentuje też coś z „Dream Diary”?),

będziemy mogli przekonać się na żywo 26 maja w Katowicach oraz 31 maja w warszawskim Powiększeniu.

Jeremy Jay mógłby być nie tylko idolem, ale też ideałem dla współczesnych nastolatków - pisze swojego „Dream Diary” (astorylandgem.blogspot.com) i odpowiada na maile pod adresem astorylandgem@hotmail.com. Mógłby - bo jednak daleko mu do wylansowanych mainstreamowców. Co odważniejsze dziewczęta niech nie zważają się po występie wręczyć mu kartki ze swoim telefonem, z dopiskiem: „just dial my number”.